

Obrazki z Kijowa – 1

17 lutego 2017

Na Ukrainę jadę pod koniec stycznia. Jeszcze nie zaczęły się dantejskie sceny w Doniecku i Awdiejewce. Za to trwają, po raz trzeci już, rocznicowe rozważania o tym, co nam dał Majdan. Co miał dać, a co się nie ziściło. Mało w tych medialnych debatach głosu zwykłych ludzi, dużo rozważań natury tożsamościowej. O prawdziwie ukraińskiej kulturze, odchodzeniu od języka rosyjskiego, budowaniu swojego miejsca w Europie, niegdyś niesłusznie utraconego.

Bazując na tym, co czytałam o Ukrainie w Polsce, i na tym, co słyszałam od niektórych znajomych, w Kijowie powinnam wylądować w samym środku tożsamościowej przemiany. Dostrzec, jak cofają się wpływy rosyjskiej kultury popularnej, za to coraz głośniej słyszać język ukraiński, być świadkiem fascynującego procesu. W dodatku takiego, który pochłania wszystkich bez wyjątku obywateli. Bo nawet jeśli ktoś do tej pory żył obok polityki, to przez Majdan i wojnę w Donbasie musiał się jakoś zadeklarować. Bez odcieni szarości, po jednej albo drugiej stronie.

Ale kiedy Jewgienij, lat 45, pracownik od wszystkiego w hotelowej restauracji, dowiaduje się, że zamierzam napisać tekst o Ukrainie, ma zupełnie inny pomysł, od czego zacząć. – Co się zmieniło po Majdanie? Żyje się gorzej, bez porównania gorzej – oznajmia. –Wszystko podrożało – gaz, prąd, woda. Nawet bilety na niektóre marszrutki. A zarobki spadły. Trzy razy!

Jewgienij („w żadnym wypadku Jewhen, nikt tak do mnie nie mówi”) jest zatem zbyt zajęty staraniami, by zadbać o byt swojej pięcioosobowej rodziny, żeby zastanawiać się nad swoją tożsamością narodową. Chociaż podobno powinien. Na ulicach codziennie widzi plakaty w niebiesko-żółtych kolorach czy billboardy z patriotycznymi hasłami. Kiedy zjeżdża po schodach

ruchomych w metrze – a jedzie się dłuższą chwilę, bo kijowskie metro należy do najgłębiej położonych na świecie – nie może nie zauważyć zdjęć umundurowanych mężczyzn, eksponowanych na przemian z aktualnymi plakatami filmowymi i reklamami kursów języka angielskiego. Mężczyźni są szczęśliwi i dumni, bo wstąpili ochotnika do Gwardii Narodowej i pojechali walczyć w Donbasie. Zaciągnij się i ty, wołają plakaty. To twój obowiązek bronić ukraińskiej ojczyzny!

Na wszystkich – napisy po ukraińsku. W języku, który mój rozmówca, tak przynajmniej twierdzi, rozumie, w sumie nawet dałby radę wyrazić po ukraińsku proste rzeczy, ale żeby w dojrzałym wieku całkowicie przestawić się na mówienie w nim? Trudno mu sobie nawet to wyobrazić. W jego rodzinie zawsze mówiło się po rosyjsku, słuchało rosyjskiej muzyki. Tak przeżył 25 lat na niepodległej Ukrainie, pracował, wychował dzieci. Nawet nie przyszło mu do głowy to, co teraz słyszy w telewizji, kiedy występują deputowani z narodowej prawicy – że przez ten rosyjski tak naprawdę cały czas szkodził państwu. Ba, zagrażał jego istnieniu.

Czyli lepiej zrobili ci z moich przyjaciół, mówi, którzy wyjechali za pracą do Polski. Sam Jewgienij dotąd nie chciał iść w ich ślady. Przyzwyczał się do obecnej pracy, nie jest jeszcze w tak desperackiej sytuacji, żeby pojechać w nieznane i zaryzykować spotkanie z nieuczciwym pośrednikiem albo pracodawcą-krętaczem. Historie o takich słyszy za każdym razem, kiedy ktoś ze znajomych wpada na chwilę do Kijowa i opowiada, jak się „w Europie” pracuje na budowie albo przy sprzątanii, jak „przydaje się” ukraiński dyplom wyższej uczelni albo znajomość języka angielskiego. Ale przyznaje, że coraz bardziej chwieje się w swoim postanowieniu. Nie chodzi o rozczarowanie „wielką zmianą” po Majdanie, bo nigdy się takiej nie spodziewał, wystarczyło mu spojrzeć na „wybitnych polityków” przemawiających ze sceny. Nie może go jednak nie irytować to, że państwo konsekwentnie ignoruje prawdziwe problemy – biedę, bezrobocie, sytuację młodych ludzi bez

perspektyw – a podsuwa sprawy, które nikomu, przynajmniej w Kijowie, nie przeszkadzały. Ludziom nie zaczęło się żyć lepiej od tego, że wyrzucono stare pomniki, zmieniono nazwę stołecznego Muzeum Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, przemianowano kilka miast. Czy byłoby lepiej dzięki ściganiu mówiących po rosyjsku?

Sprawdzam w bazie aktów prawnych ukraińskiej Rady Najwyższej, kto najwyraźniej jest przekonany, że tak. Projektów dotyczących spraw językowych wpłynęło w grudniu i styczniu aż trzy. Pod pierwszym, „0 języku na Ukrainie”, podpisało się 32 deputowanych, głównie z prezydenckiego Bloku Petra Poroszenki, ale jest też kilka postaci z Frontu Ludowego, partii byłego premiera Arsenija Jaceniuka, deklarującej proeuropejskość, liberalizm, demokrację. Co zamierzają „liberalnie” i „demokratycznie” zaserwować 60 proc. obywateli, bo tylu albo posługuje się stale wyłącznie rosyjskim, albo rosyjskim i ukraińskim w różnej proporcji? Pełne sprzeczności prawo, w którym mówi się o „ochronie języków narodów rdzennych oraz mniejszości narodowych”, ale chwilę dalej zastrzega, że o tym, na jakim terenie będzie można ich używać, będzie decydowała centralna władza poprzez osobne ustawy. Prawo, w którym zastosowany zostaje podział na „rdzenne narody”, które od wieków żyją na terytorium Ukrainy (sic!), „mniejszości narodowe” i „migrantów” – tym ostatnim oczywiście nie należy się nic.

W której grupie znajdują się rosyjskojęzyczni, nieważne, czy czują się Rosjanami, czy ukraińskimi Rosjanami, czy nawet obywatelami Ukrainy, tyle, że bez znajomości języka Szewczenki? Dlaczego nie w ostatniej? Jest już precedens w postaci rozwiązań prawnych stosowanych od lat na Łotwie i w Estonii. Czy Blok Petra Poroszenki razem ze sprzymierzeńcami ze skrajnej prawicy zawahałby się wprowadzić podobne u siebie?

Po kilku dniach w Kijowie chciałoby się wierzyć, że jednak tak. Logika podpowiadałaby, że żadna władza, żadnymi ustawami ani karami nie da rady zmienić tego, że na ulicach nieustannie

słyszę rosyjski. Ukraiński, owszem, też, ale niesamowicie rzadko. W kilku miejscach próbuję prowadzić rozmowę w języku urzędowym. W większości przypadków nic z tego, rozmówca woli rosyjski. Udaje się podczas lotniskowej odprawy i w soborze Mądrości Bożej, funkcjonującym obecnie jako muzeum, jednym z najświetniejszych zabytków Kijowa i Ukrainy w ogóle. To miejsce fundamentalne dla ukraińskiej tożsamości i oprowadzanie odbywa się wyłącznie po ukraińsku, zastrzega na samym początku przewodniczką. Ale już w cerkwi św. Cyryla, filii tego samego muzeum, na ukraińskie „dzień dobry” odpowiadają po rosyjsku, a oprowadzają w obydwu językach. To samo w Ławrze Pieczerskiej albo w nieszczęsnym Muzeum Ukrainy podczas II wojny światowej, które w powszechnej świadomości nadal jest Muzeum Wielkiej Wojny Ojczyźnianej i taka nazwa widnieje nawet na tabliczkach w marszrutkach (musiały się za to dostosować do zmian miejskie trolejbusy). To samo nawet w muzeum Tarasa Szewczenki, który, nawiasem mówiąc, nie widział żadnej sprzeczności w pisaniu patriotycznej i antycarskiej poezji po ukraińsku i prozy w języku rosyjskim. Czego się zresztą z wystaw nie dowiemy, chociaż obok kilku sal wypełnionych wartościowymi eksponatami znalazło się miejsce nad dość prymitywne w wymowie, powstałe po Majdanie obrazy Szewczenki jako autostopowicza jadącego do Moskwy, komiksowego superbohatera albo więźnia wykonującego tatuaż na plecach Władimira Putina.

A jednak ustawa „O języku na Ukrainie” nie jest nawet najbardziej radykalnym z projektów, którymi zajmie się Rada Najwyższa. 19 stycznia do parlamentu z własnym projektem zgłasza się ośmioro deputowanych – też z Bloku Petra Poroszenki, Frontu Ludowego lub niezrzeszeni, z tym, że dwóch niezrzeszonych nie omieszkało zaakcentować patriotycznej orientacji, pozując do oficjalnych zdjęć w koszulkach-wyszywankach. Nie dają wielkich szans na ochronę jakiegokolwiek dziedzictwa mniejszościowego. Żeby w jakimkolwiek stopniu dopuścić używanie innego języka niż ukraiński w danej miejscowości, przewiduje projekt, musi żyć tam na stałe więcej niż 30 proc. przedstawicieli mniejszości i

muszą oni gremialnie złożyć podpisy pod petycją do władz. Jeśli się tak zmobilizują, co na Ukrainie graniczy z niemożliwym, i tak mogą zostać z niczym, bo „ochrona języków mniejszości nie może w niczym szkodzić ukraińskiemu”, a czy w danym przypadku szkodzi, zdecyduje Rada Najwyższa, pełna „demokratów” w wyszywankach.

A jakby tego było mało, tego samego 19 stycznia w parlamencie pojawia się trzeci projekt. Podpisane pod nim towarzystwo, tak samo jak poprzednicy i również ponad podziałami – są ludzie od Poroszenki, są niezrzeszeni, jest Front Ludowy i Samopomoc – domaga się obowiązkowego ukraińskiego we wszystkich organach władzy, we wszelkiej działalności kulturalnej (w kinach – dubbing, w teatrach – tylko ukraiński), w sklepach, przy drukowaniu książek. Za niezastosowanie się – kara w wysokości 400-600 pensji minimalnych. Za dążenie do tego, by wielojęzyczność kraju została jednak zaakceptowana – sprawa karna z zarzutami o „próbę zamachu na ustrój Ukrainy”.

Wielojęzyczność Ukrainy, która, przypomnijmy, oprócz Rosjan ma w swoich granicach jeszcze mniejszości bukowińskich Rumunów, zakarpackich Węgrów, Ormian, Bułgarów, Polaków, jest faktem. Ukraina nie jest jedynym wielojęzycznym państwem na świecie, ma od kogo uczyć się dobrych praktyk (nie tych łotewskich czy estońskich). Architektom „nowej Ukrainy” z ław Rady Najwyższej łatwiej jednak iść na skróty. Ślepo narzucać swoje, ignorując społeczne konsekwencje i koszty. A przy okazji – znowu podrzucać temat zastępczy. Niech społeczeństwo nie pyta, dlaczego po Majdanie żyje się coraz gorzej, niech nie zadaje pytań o Donbas i sens tej wojny, niedawno znowu rozkręconej z całą niszczycielską siłą, tylko niech się zajmie szukaniem wroga wewnętrznego.

Autorstwo: Agatha Rosenberg

Źródło: Strajk.eu